



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Cyngalezi.

CYNGALEZI.

Czytelnicy nasi, mieszkający w Warszawie, widzieli zapewne Cyngalezów, czyli mieszkańców Ceylonu, w ogrodzie Zoologicznym. Ciż sami, tylko liczniejszą gromadą, pokazy-

wali się w Paryżu w r. 1886. Mieli także z sobą różne zwierzęta, właściwe ich ojczyźnie, słonie wspaniałe, a było wówczas pomiędzy niemi i małe słoniątko, co stanowi osobliwość wielką, bo rzadko kiedy w niewoli przychodzą na świat młode słonie. Dlatego to, zamiast hodować te zwierzęta, jak

konie, bydło rogate lub owce, w Indyach, gdzie słonie używane są do różnych robót, ciągle potrzeba chwycić dzikie potlasach i z trudem je oswajać.

Zebiu jest także zwierzęciem właściwym Indyom i wyspom Sundzkim. Rysunek nasz przedstawia ćwiczenia, wykonywane w Paryżu przez Cyngalezów ku uciechu publiczności. Garbate zebiu zabawnie wygląda w zaprzęgu, ale żwawo bieży, słonie zaś, pomimo ociężałej postaci, nadzwyczaj zręcznie i roztropnie służą człowiekowi. Siła ich czyni je szczególnie zdolnymi do przenoszenia ciężarów.

LIST Z WARSZAWY.

Prawdę to powiada przysłowie, że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Używałam wsi i wakacyi, i dobrze mi było oddychać wonią lip i słuchać ich szumu, patrzeć jak zboże „kłania się całym łanem”, zanim padnie pod sierpem żniwiarzy, dobrze mi było drabiniastym wozem jeździć na grzyby, albo na podwieczorki w pasiece zastawione (nie przyznam się do ilości zjadanych tam owoców i kromek chleba z miodem!) a jednak z wielką radością wsiadłam do wagonu, który mnie wieźć miał do Warszawy, z większą jeszcze do dorożki a z jaką największą przestąpiłam próg domu, tego już i opowiedzieć nie potrafię. A potem radość nowa: Gołąbka, choć to poważna już staruszka, wpada jak strzała do redakcyi, ścisła wszystkich, całuje, wita, pytaniami zarzuca, sama też na pytania odpowiada (niezawsze do rzeczy, bo z wielkiej uciechy nie słyszy co do niej mówią!) a dowiedziawszy się, że czeka na nią mnóstwo listków, znowu wszystkich obdziela uściskami. Bo i jakżeż się tu nie ucieszyć, drogie moje, mając tak oczywisty dowód, że wakacyjne wycieczki jednych, wakacyjni goście drugich, nie wyrugowali z waszego serca przybranęj siostrzyczki? Ze o niej pamiętacie, że was ona zajmuje, mam i w tem dowód że tak często... za często nawet! stoi w listkach zapytanie, na które powtórzyć trzeba po raz setny, że nigdy odpowiedzi nie będzie! Gołąbka nie może mieć dla was innego imienia prócz Gołąbki. Bo jakżeż by ona śmiała głosić nazwisko swoje, skoro osoba jej dla tego tylko zyskuje sympatyą waszą, że przemawia do was słowami, które są echem rozmów, rad, uwag kochanych kierowniczek Pisemka? Przestańcie więc dopytywać się, najmilsze przyjaciółeczki moje, ale nie przestańcie darzyć przyjaźnią... Cóż z nią bowiem może mieć wspólnego taki lub owaki dźwięk imienia i nazwiska mojego? Baniuto, choć rodzeństwo i kuzynki dziwiają się tobie, że pisujesz „nie znając imienia”, powiedz sama; wszak znamy się dobrze, jakkolwiek nie widzieliśmy się z sobą podczas bytności twojej w Warszawie? Jedne mamy umiłowania i cele: obie kochamy wszystko, co kochania warte, obie pragniemy być ludziom pożytecznymi i spełniać obowiązki nasze? Ty masz lat 13, ja więcej. Starszą Siostrą zwać mnie możesz, jeżeli miano Gołąbki wydaje ci się za mało dobitnem w obec stosunku, jaki się między nami zawiązał. Czyż piękniejszego imienia potrzeba? Filarctko, ty która pragniesz „mnie zobaczyć”; czy nie zobaczysz wiele ciekawszych i ładniejszych rzeczy w książkach, nad którymi teraz przesiadywać będziesz z żywszem niż kiedykolwiek zajęciem? Powiadasz, że kochasz naukę. Jesteś właśnie w latach, w których nauka dokuczliwa trochę dziecięcego wieku ochmistryni, staje się ulubioną towarzyszką. Prawda, Jesieni droga, ile to chwil przyjemniejszych zawdzięcza się książkom? nawet tak rdzennie różnym treścią jak listy o Chemii Zdzitowieckiego (kosztują rs. 3) i (czterotomowe rs. 10) wydanie dzieł Krasińskiego. Tu świat poezyi tam rzeczywistości, a nie wiadomo w którym więcej uroków i cudów. A więcej niż kiedykolwiek „nie wiem” powtórzyć muszę po przeczytaniu przysłanej mi przez Królową Salin piosenki. Taka śliczna, a taka smutna... jak smutną bywa każda „dro-

ga z kamienia” ilekroć się na nią wstąpiło z musu i z wiedzy że nie prowadzi ona ku wyższemu, własnowolnie obranym ciom. Nie kamienistą jednak musi być ta, która ciebie, Kilewno, nie Salin, ale całego siola! wiezie pomiędzy chaty jako dróżkę panny młodej. Żartujesz pewno z Gołąbki, w rażając obawę, aby ją list twój nie znudził? Choć pocztowa jest Gołąbką i dalekie przebywa przestrzenie, czyni to wszadla tego jedynie, aby skrzydełkiem trącić o wasze serduszka zwyczajnie jak swojaczka!... Ale właśnie że swojaczka i czuje, woli ona co piękne i dobre a swoje, niż to, co „za grnicą”. I godzę się też z Porankiem majowym, (który na 1 żowym jak jutrzienka papierze zaświtał w redakcyi) że wystwa pracy kobiecej więcej ma dla nas znaczenia, niż wie Eiffel. Pierwsza jest bilansem całej grupy istot, które dopiero dorabiają godności czynników społecznych, drugą zbytkowną zabawką tych, co w bogatym społeczeństwie oddwina już są siłą czynną.

Semiramis! imienniczka twoja nie z nieśmiałości słynę a ty, tak późno „ośmielasz się” napisać do tej, która *każ* nową korespondentkę (proszę na to podkreślenie wyrazu „każda” zwrócić należytą uwagę!) uważa za siostrzyczkę nową Tobie, monarchini starożytna, jak i wszystkim tym, którzy liściki z zapytaniem o warunki konkursu nadeszły pod koniec jej nieobecności, odpowiedziała już w moim imieniu redakcyi. I ty, Tęsknoto za Wisłą, za pośrednictwem redakcyi odbierzesz wkrótce żądane szczegóły; a miejsce dla ciebie znajdzie się zawsze w moim sercu, które, jak dom gościnnie nigdy się przed nikim nie zamyka. A jeszcze przetaką korespondentką, która opisami nieznanymi, a piękny na szerokim świecie miejscowości, zaspakaja ciekawości dorożki, nie znającą nic prócz własnych choć drogi serce kątów! Niezapominajko z Polesia o wiernem serduszku, i stka pozostawiona przez ukochanych niech się nie staje przyczyną zrywania związków z pozostałymi. Śmierć Kochanki, boleścią przejęła całą naszą rodzinę, ale najlepszą dowód miłości dla jej pamięci, coraz to ściślejszą są nią serc naszych, między którymi ona to zadzierzgnęła piwszy węzeł siostrzanych uczuć. Dowód ich daje mi Biedna Ostróżka, dzieląc się ze mną smutkiem, którego przyczyną tak choroba matki, jak i klęska gradowej burzy. Smutno to rzecz dla rolnika tracić w jednej chwili owoc całorocznych zabiegów, ale straty materialne dają się powetować przez a serdeczne, Bóg łaską swoją odwraca. Niezapominajko z nad Dunaju i ty, Złota Gwiazdka, siostrzyczkom to w waszym zawdzięczam serdeczność, jaką tętną miłutkie was odezwy, najmłodsze wy Benjaminski rodzinne. Wisienko z nad Sobu, pamięć o mnie w tak bolesnej chwili, po utracie brata jest mi nieocenionym dowodem przyjaźni twojej. Całem sercem dzielę twoją boleść, tak jak dzielę ukontentowanie ktynagroda sprawiła Niezapominajce z nad Warty. Dziękuję ci też prawdziwie szczerem podziękowaniem, kwiatku i miły za to, że się tak chętnie zgadzasz na podaną ci prze mnie propozycyą. A więc będziemy sobie przyjaciółkami. Góro Gołąbka! coraz więcej skarbów jej przybywa, boć mił ludzka jest najcenniejszym ze skarbów serca. Slizgawko nie roztajała od upałów, a pod lodową powłoką ciepłe i musis serce, skoro o biednych pamiętasz, i na maszynie s można, byle własnoręcznie. Że cię nie doszła odpowiedź liściki, winno już chyba temu owo letnie rozproszenie się, i re nawet i ład redakcyjny narusza. Kropelko rosy, to chęć wędka, za pomocą której w kałamarzu Gołąbki chcesz złowić raz setny powtórzone zapewnienie? Jakt! jeszcze pytasz, ja lubię odbierać listy od czytelniczek Wieczorów? Ależ bię, lubię, bardzo lubię! Chciałabym wydrukować ten raz dużemi literami, większemi, ogromnemi literami, i przez oczy wpadłszy do pamięci wyrzył się w niej raz na wsze. Łobzowianka z nad Rudawy może adresować przesy swoją do redakcyi. Plan który podajesz, jest dobrym wiem, że obmyślono już inny, o którym się niedługo dowiedź Snieżyco i Krasnolico, nie! nie wyrzuciłam was z pamięci. O mało nie podskoczyłam z radości zobaczywszy dawno nie widziane pismo wasze. Jakże się nie miałam cieszyć? tro mi się przypomniła przypowieść o marnotrawnym sy

tylko, że jego bieda przypędziła do domu, a was do mnie poczciwie, kochające serduszka zwróciły. Dlaczego, Jedlinko przypuszczasz, że znudziłby mnie opis twojej okolicy, jeżeli ją kochasz, „Miej serce..” nauczał poeta a ja do siebie wzięwszy polecenie drugie, *patrzyć będę w serce* i pewno śliczne tam rzeczy zobaczą. Zresztą staruszką niedługo zostaniesz: *staremi* więc oczyma rozpatrz się po znanj okolicy a zobaczysz niejedno, czego nie widziały dziecięce i pokażesz to siostrze Gołąbce. Królowo Wrózek, przez daną ci moc czarodziejską powinnaś wiedzieć, że niesłusznie Gołąbkę posądzasz o zapomnienie o tobie? A jeżeli ci zaległe numera wydostaną i w dodatku całusa poszlę, czy jeszcze powiesz, że na odezwy twoje milczeniem i nieuwagą odpowiadam? Aby nikt nie miał prawa obciążyć skrzydełka Gołąbki podobnym zarzutem, oznajmia ona z polecenia Redakcyi wszystkim autorkom i autorom łamigłówek, liścików, rebusów i powiastek, że dopiero po przeczytaniu tychże powziętem będzie postanowienie czy je drukować, czy nie. A tymczasem, bądźcie mi zdrowe rozproszone, a sercem bliżkie siostrzyczki i kochajcie zawsze niezasażoną ale szczęśliwą i sercem wam całem oddaną

Gołąbkę pocztową.

BYŁO ICH TRZY.

NOWELKA

p. S. Morawską.

(Dalszy ciąg).

I obiedwie wróciły do swoich zadań. Kasia tymczasem jak rzekła, tak i uczyniła, skończywszy pięć klas, uprosiła opiekunów, aby zamiast na pensyja, oddali ją do zakładu introligatorskiego. Krewni chętnie się na to zgodzili, chwyląc rozsądek Kasi, jej skromność z którą przyznawała się, że nie czując się na siłach, aby mogła podolać wyższym naukom, o których marzyły dwie jej kuzynki, pragnęła spożytkować wrodzoną zręczność do wszelkich wyrobów z papieru i nauczyć się introligatorstwa galanteryjnego.

Kiedy więc one jechały na pensyja, ona jednocześnie przyjechała z niemi, aby rozpocząć naukę obranego rzemiosła. Z początku przykro jej było porzucac towarzyszyki, żal jej było, że kiedy one kształcić się będą coraz wyżej, ona tymczasem wyrzynać będzie i kleić pudełka. Prócz tego bolało ją lekceważenie z jakim spoglądały na nią Idalia i Regina, oraz ton wyższości, jaki względem niej przybrały. Czują to, że od chwili, gdy się dowiedziały, iż nie myśli jechać z niemi na uniwersytet, stanęła między nią a przyjaciółkami jakaś przepaść. Traktowały ją jako istotę niższą, niezdolną ich zrozumieć, jako upośledzoną, odartą z wszelkich wyższych pojęć. Wyraz ten: „*upośledzona*” słyszała nawet nieraz z ich ust, były nawet chwile, iż jej samj się zdawało, że rzeczywistość była upośledzoną, niższą jakąś istotą i tem gorliwiej zajął się pracą fizyczną, rzemiosłem.

Czasem w Niedzielę odwiedzała Idalią i Reginę, wychodziła jednak od nich zawsze upokorzona i smutna, zaprzestała więc chodzić do nich, a niedzielę i święta przepędzała na przechadzce do botanicznego ogrodu, z którą z nowych swoich towarzyszek.

Upłynęło kilka Niedziel, a Kasia nie zjawiała się na pensyji; niecierpliwilo to Reginę i Idalię; w końcu grudnia mając dzień wolny wśród tygodnia od lekcyj, poszły ją odwiedzić. Zastały właśnie Kasię, gdy co tylko wykończyła pudełko do rękawiczek, a drugie do roboty, które miała zawieźć jako okaz swj pracy, jadąc do krewnych na święta.

— I ciebie ta robota nie nuży — zapytała Idalka.

— Nie, przyzwyczaiłam się do niej — odrzekła Kasia.

— Trzeba było od tego zacząć — rzekła niedbale Regina, ująwszy się prawą ręką pod bok, a lewą zarzuciwszy na ramię Idalii.

— Zapewne żałujesz lat straconych nad nauką na pensyji? — mówiła z pewną ironią Idalia.

— Owszem wcale nie żałuję — oprócz wiadomości, które mi przyjemność czynią, niektóre nauki dopomogły mi do prędszego zrozumienia mojego rzemiosła.

— Proszę! i jakież to nauki były ci potrzebne — zapytała Regina.

— Geometryja dała mi pojęcie o kształtach i wymiarach, potrzebnych do równego zestawiania w całość cząstek pudełka — odrzekła Kasia — a rysunek ułatwił mi nakreślenie każdego przedmiotu, który pierwj narysować trzeba, nim go się zacznie wykrawać. Mając o tem wszystkim jakieś pojęcie, od razu przystąpiłam do wyrzynania takich oto pudełek i dla tego szybkie w swoim fachu zrobiłam postępy — dodała, wskazując na stojące przed nią przedmioty.

— A więc cel twój prawie osiągnięty, umiesz już kleić pudełka! — zawołała, śmiejąc się drwiąco Idalia.

— Och, nie jeszcze, nie osiągnęłam celu, bo jeszcze ani grosza nie zarobiłam, — mówiła Kasia nie zważając na złośliwe uwagi dawnych przyjaciółek. Dopiero od Nowego Roku płacić mi będą za robotę — dodała.

— Aaa!

— Aaaa! — zawołały przybyłe.

— No i jakież to sumy przyniesie ci ta praca? — spytała Regina.

— Praca moja — odrzekła Kasia — nie przyniesie mi sum wielkich, ale na początek będę miała jaki taki zarobek, obiecują mi, że przy pilności będą mogła zarobić do dziesięciu rubli miesięcznie...

— Ha, ha, ha! to mi dopiero bogactwo! — rozśmiała się Idalia.

— Tak, początkowy mój zarobek nie będzie bogactwem, nie mogłabym jeszcze z tego się utrzymać, ale wszakżeż to dopiero początek! — mówiła z pewnem ożywieniem Kasia. — Obecnie uczę się, a gdy przy nauce zarobię już cośkolwiek, będę nad wyraz szczęśliwa!

— Prawda, żeś bardzo szczęśliwa, jeżeli dziesięć rubli może cię uszczęśliwić — rzekła z ironią Idalia.

— Nie dziesięć rubli — lecz początek zarobku...

— Z którego całe społeczeństwo odniesie takie świetne korzyści — przerwała Kasi Regina.

— Mój Boże, nie mam do tego pretensyji, ażebym się mogła w czemkolwiek przyczynić do uszczęśliwienia społeczeństwa — mówiła spokojnie Kasia — ale prawda, i z mojej marnj pracy może być jakiś pożytek..

— Pożytek! pożytek? — wykrzyknęły obiedwie razem, Idalia i Regina.

— Pożytek? — powtórzyła Regina siadając — wytłomacz nam, jaki pożytek być może z twoich pudełek.

— Daj pokój, ogromny pożytek — rzekła śmiejąc się Idalia — w pudełko uklejone przez Kasię wsypią cukierków i przysła ci na imieniny...

— Albo włożą mydełko i perfumy i tobie ofiarują! — przerwała Regina.

— Niech i tak będzie — odrzekła Kasia — ale to pudełko do cukierków lub perfum będzie zrobione u nas, nie wyjdą pieniądze za granicę, będzie więc już pożytek. A gdybym się coraz więcej w swoim fachu wykształcić mogła i skupiła około siebie dużo takich biednych dziewcząt, co nie mogą sięgać po wielką naukę a potrzebują pracy, już tem samem przyniosłabym im pomoc. Powoli rozwinąłby się przemysł krajowy, a w oknach cukierni i perfumeryj widniałyby tylko ozdobne pudełka wyklejone ręką naszych robotnic — mówiła z ożywieniem dziewczęca — a tysiące rubli, które teraz wychodzą poza kraj, pozostałyby u nas i nakarmiły głodnych.

— Fiu, fiu, fiu! cóż za świetne pomysły zbudowane na papierowym fundamencie! — zaśmiała się Regina.

— Jak kto może, miły Boże! — odrzekła wesoło Kasia. — A jakżeż wy, czy przygotowujecie się do zdania egzaminu i nauk uniwersyteckich? — spytała?

— Do egzaminu? a to po co? wszak rok się dopiero rozpoczął — rzekła Idalia.

— Sądziłam, że do uniwersytetu potrzeba oddzielnego przygotowania — odrzekła Kasia.

— Ach, moja droga, słuchasz wszystkiego, co ci kto powie i sądzisz o wyższych naukach i uniwersytecie jak ślepy o kolorach — mówiła Regina. — Te wszystkie trudności o naukach uniwersyteckich, to są tylko brednie dla odstraszenia niedoświadczonych i nie wytrwałych w swoim postanowieniu panien.

— Zresztą czyż nasza pensja tak nisko stoi, żebyśmy potrzebowały jakieś oddzielne brać lekcje przed dostaniem się do uniwersytetu — dodała Idalia.

— Ależ ja nie ubliżam pensji, wiem, że się tam dużo nauczyć można — odrzekła Kasia — myślałam jednak...

— Toś źle myślała — przerwała żywo Idalia — i raz na zawsze cię proszę, gdy pojedziemy na święta, nie odzywaj się z jakimiś wątpliwościami, egzaminami, przygotowaniem specjalnem do uniwersytetu, bo tylko psuć będziesz naszą sprawę i potakiwać całemu areopagowi składającemu się z ludzi zacofanych, którzy buntują rodziców, żeby nam na wyjazd nie pozwolili.

— Czyżby mój głos coś znaczył! — rzekła wrzuszając ramionami Kasia.

— Znaczyłyby czy nie, ale śpiewałabyś ich piosenkę, to już dosyć — rzekła z niechęcią Regina. — Jak im zaczniesz prawić o swoim blizkim zarobku, jeszczeby gotowi nas wszystkie do sklepania pudełek zapędzić, śliczna perspektywa! — dodała.

— A niechże Bóg broni! — zawołała wesoło Kasia — miałabym zbyt wielką konkurencją, a tego sobie wcale nie życzę.

— Och! i żadna z nas, bądź pewna! — zawołała Idalia.

— Nie obawiaj się, nie odbierzemy ci chleba! — my inne mamy cele — dodała Regina.

— Możesz być spokojną o swoje pudełka! — rzekła żegnając ją Idalia.

III.

Jak postanowiły tak uczyniły, nie pomogły ani przedstawienia matki, ani surowe wyrazy ojca, Idalia i Regina wyjechały do Zurichu.

Rodzice jednej i drugiej długo bardzo nie chcieli dać pieniędzy na wyjazd, widząc jednak, że dziewczęta zbierają po kryjomu swoje małe oszczędności, dali pieniędzy i wyprawili uparte.

Przedtem jednak długo bardzo przedstawiali im, iż każda mogłaby być bardzo pożyteczną w domu. Zajawszy się pewnym działem gospodarstwa, każda z nich ten dział mogłaby rozwinąć, mieć korzyści materialne, a jako inteligentna osoba, wskazała drogę do pracy innym, mogłyby nawet na téj drodze zasłynąć w całej okolicy.

— Nie nato nauczyliśmy się, aby się zakopać na wsi, sadzić drzewa i krzewy, hodować kury lub wyrabiać sery, my mamy inne cele! — odpowiedziały obiedwie. I postawiły na swoim — wyjechały.

Ze drżeniem oczekiwano pierwszych wieści.

Listy były jakieś nienaturalne, niby to wesołe, a jednak czuć w nich było pewien niesmak. O przyjęciu do uniwersytetu, o zdaniu egzaminu, o wykładach nic nie było.

W drugim liście brzmiał żal do całego świata; profesorem zamiast ułatwić drogę młodym osobom, dążącym do wiedzy, stawiają na każdym kroku przeszkody.

Trzeci list przynosił skargę na zły wykład, profesorem mówili tak niewyraźnie, tak nie jasno, że trudno było cokolwiek zrozumieć.

W dalszych listach czuć było jakieś zniechęcenie, pośpiech, niektóre zawierały krótką tylko prośbę o przysłanie pieniędzy, aż nareszcie przyszedł list nie z Zurichu lecz z Bernu, gdzie przeniosły się, bo tam lepszy jest skład profesorów i łatwiej się można czegoś nauczyć.

(d. n.)

Odpoczynek.

Czerkiesi zwani także Adige lub Adiche, jest to naród pierwotny, niezmiernie bitny, zamieszkały w górach Kaukaskich na południe rzek Łaby i Kubania: Kabardyńcy, Natuchajcy, Szapsugowie, Bzeduchowie, są to nazwy pojedynczych plemion czerkieskich. W razie potrzeby bitny ten naród może wystawić blisko 50.000 konnicy. Oczywiście, dzielny rumak jest pierwszą potrzebą, serdecznym przyjacielem, koniecznością nawet dla czerkiesia; obrazek nasz p. t. „Odpoczynek” przedstawia dwóch takich wojowników i trzy ich koniki spoczywających w bujnym stepie po lotnej jakiejś podróży; inteligentne głowy rumaków zwrócone są ku ludziom zupełnie z takim wyrazem, jakby pięciu tych przyjaciół wiodło z sobą swobodną pogawędkę. Tak to bywa w chwilach spokoju, ale gdy namiętność do wojny rozplómił tych ludzi i ich konie, wyglądają oni wtedy wcale inaczej. W każdym razie możnaby do nich zastosować następujący wierszyk.

Z piersią olbrzyma, z nóżkami jelenia,
Z okiem gdzie dusza wygląda z płomienia,
Z włosem puszczone na wichrów ochoty,
Z karkiem wygiętym do miękkiej pieszczoty
Rumak tu pierwszy; więc ogniem ziejące
Konie, przed wszystkim lud wiedzie ku łące,
Głaszcze, ociera, prowadzi i pieści.
Rumak za panem wzrok toczy niewieści,
Głowę maleńką, żylastą u skroni
Chyląc miłośnie ku lubej mu dłoni.
Rączym biegunom nikt nogi nie pęta,
Druhy to raczej niżeli zwierzęta,
Żrebie wśród dzieci człowieczych się chowa,
Rozumią siebie choć różna ich mowa,
Aż się wojownik z rumakiem tak żyją,
Że gdy przygnęci i szyja nad szyją
Suną przez błonia jak szczupak przez fale,
Z okiem krwią zasłem jakoby szakale,
Z grywą podwójną rzuconą na losy,
Z uchem rozwartem na stepów odgłosy,
Z nozdrzem rozdętym na tłące w krwi grody,
Z gromem na wyścig, z wichrami w zawody...
Trudno i zgadnąć co z burzą się pora,
Człowiek potworny, czy zwierzę - potwora?
Zgadniesz to tylko, że leci zniszczenie,
Bo mu z pod kopyt klną iskrą kamienie!

O DWA DNI ZAPÓŹNO!

Brudną, błotnistą ulicą Konstantynopola szło dwóch chłopczyków. Starszy miał lat 4, młodszy dwa zaledwie. Piastunka, idąca w tyle, nie spuszczała ich z oka, gdy nagle pies, których mnóstwo się tam włóczy, skoczył i obalił małego Józefa.

Zanim piastunka zdążyła przybieść dziecku na pomoc czteroletni Andrzej porwał braciszka, usunął na bok, a sam śmiało stanął na straży płaczącego malca.

Brytan obwąchał obydwóch i odszedł. Piastunka zachwy-



cona postępkami wychowawca opowiedziała o nim matce chłopczyków.

Była nią pani Chenier, żona francuzkiego konsula w Konstantynopolu.

Uściskała synków, ale mamy kochają tak bardzo swe dzieci, że przeraża je nawet niebezpieczeństwo, które już grozić przestało. To też pani Chenier długo tuliła do siebie główki synów, nie wiedziała biedna, iż jedną z tych słicznych główek straszny miał spotkać los, od którego miłość matki uchronić go nie potrafiła. Uplynęło z górą dwadzieścia lat od czasu jak zły pies chciał pokąsać małego Chenier w Konstantynopolu.

Wyrosli oni nietylko na przesłicznych młodzieńców ale i na słynnych poetów. Powtarzano z uniesieniem piękne ich wiersze, a znajomi nie wiedzieli co więcej podziwiać, szlachetność czy talent Andrzeja i Józefa.

Nadszedł czas straszny dla Francji. Król jój, Ludwik XVI-ty chcąc nadać krajowi nowe, lepsze prawa, zwołał na naradę posłów z całego narodu, ale naród ten, oburzony jarzmem jakim go gnietli poprzedni monarchowie, nie potrafił ocenić dobrych chęci panującego i zbuntowawszy się przeciw niemu, uwięził Ludwika wraz z całą rodziną.

Strasznym tym buntem kierował człowiek nazwiskiem Robespierre, z jego to rozkazu więzienia napełniły się ofiarami, wiadano, że gdyby kto śmiał stanąć w obronie króla, zginąłby na gilotynie. Zdobył się jednak na to prawdziwe bohaterstwo, szlachetny, młody Andrzej Chenier.

Ogłosił w pismach, pamiętny na zawsze list, w którym, oburzony wydanym przez sąd wyrokiem śmierci na króla, wzywa cały naród francuzki, aby w sumieniu swoim osądziwszy sprawiedliwie szlachetnego monarchę, nie dopuścił ohydnej zbrodni królobójstwa. List ten pozostał bez skutku. Zginął na rusztowaniu nieszczęśliwy Ludwik XVI a szlachetnego jego obrońcę Andrzeja Chenier uwięziono. Straszne były ówczesne więzienia. Tysiące ofiar w niewygodzie i zaduchu, oczekiwali w nich śmierci. Młody Andrzej, zamknięty wraz z innymi, zapomniał zupełnie o sobie, żeby współczuć z losem towarzyszy niedoli. Wtedy to ułożył słiczną elegią pod tytułem „Młoda uwięziona”.

Tymczasem znaleźli się ludzie, którzy postanowili odebrać władzę srogiemu Robespierrowi. Knuto spisek pocichu, głucha wieść o nim doszła jednak i do nieszczęśliwych więźniów, nadzieja ocalenia odżyła w ich sercach.

Jeszcze dzień, jeszcze dwa, odwlec wyrok a kto wie, może straszny potwór obalonym zostanie i z nim wróci wolność ofiarom.

Z tem większym niepokojem słuchano wyroków, które ogłaszano codziennie. Całe miasto żyło w oczekiwaniu, coraz głośniej mówiono o tem, że chwila upadku Robespiera zbliża się, że upadek ten nieunikniony.

Nie doczekał go młody, piękny, szlachetny, natchniony Andrzej Chenier!

25 Lipca 1794 r. przeczytano mu wyrok i zaraz potem przewieziono na plac śmierci.

Ze związanymi z tyłu rękoma, z okiem w niebo wznieścionymi, jechał młody poeta na odkrytym wozie, z którego wstąpić miał na rusztowanie. Z największym spokojem stanął na niem, tylko widok przyjaciela, także poety, Rouchera, którego głowa również spaść miała, wycisnął mu łzę żalu.

Spuszczono schodki, Andrzej wszedł na nie śmiało, ale stanawszy na ostatnim stopniu, uderzył się w czoło i zawołał z żalem.

— Niestety, nie uczyniłem nic dla potomności, a jednak czuję że miałem tu coś ku temu.

Za chwilę struga szlachetnej krwi oblała gilotynę piętnując hańbą ziemię francuzką, za to że nie umiała cenić takich dzieci.

W dwa dni potem skończyła się władza Robespiera, uwieziono okrutnika, a wypuszczono jego ofiary. Dwa dni! czemuż nie dożył ich Andrzej Chenier. Mylił się jednak mówiąc, że nie uczynił nic dla potomności. Szlachetna od-

waga, z jaką bronił opuszczonego od wszystkich monarchę, uczyniła imię jego drogim każdemu prawemu człowiekowi, a talent zapewnił mu nieśmiertelność. Brat Andrzeja, Józef, przebolewał ciężko poniesioną stratę.

Z. B.

WSPOMNIENIA MŁODEGO WĘDROWCA

Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

— Co to się dzieje? Co się stało na statku? — pytam James Mille'a majtka, z którym od onegdajszego wieczora poprzyjaźniłem się niechcący, z szczególniejszej przyczyny: oto Match, u którego byliśmy wówczas w gościnie, częstując cygarami pana Antoniego, poczęstował i mnie... Przyznam ci się, ale tylko tobie moja Wańdziu, że w dziwnym uczułem się kłopotcie, bo jak wiesz, nigdy nie palę, gdyż rodzice nie uważają tego za dobre, i lekarze mi zakazują i ja sam nie znajduję w tem wielkiej przyjemności. Dobrze to w domu i między swoimi, ale znalazłszy się wśród obcych, którzy widocznie bez żadnej grzeczności, tylko zupełnie naturalnie uważają cię za dorosłego człowieka, przyznaj siostrzyczko, że mimowoli chciałabyś się nie odróżniać od ogółu dobrze wychowanych dorosłych ludzi... Może to śmieszność z mej strony, boć doprawdy głupstwem jest to palenie, które w ogóle wszystkim ludziom, nawet zdrowym szkodzi, ale pod naciskiem okoliczności, doprawdy, jak cię kocham wstyd mi było podziękować i odmówić cygara. Spojrzałem z boku na pana Antoniego który zdawał się wcale tego nie uważać, ale ja go już znam, spostrzegłem koło jego ust takie melancholiczne skrzywienie, że pewny byłem iż pod tem skrzywieniem widać na się z mego kłopotu. To mię zdecydowało. Bez pośpiechu, spokojnie o ile mogłem wziąłem cygaro z cygarnicy, podziękowałem panu Match skinieniem głowy uprzejmem, tak samo jak pan Antoni, zapaliłem cygaro z kolei jak wszyscy i udawałem że niby to palę, starając się tylko aby nie zgasło. Panowie zapalili drugie i trzecie, a ja wciąż toż samo paliłem. To też gdy dzieci wbiegły, bo tam jest wielka a raczej wszelka, tylko jakaś rozumna swoboda dla nich i zaprosiły mię do *school-room'u* i ja poszedłem, to słyszałem na własne uszy od progu jak pan Match mówił półgłosem do pana Antoniego:

— Cóż to jest za niepospolicie rozsądny młodzieniec ten pański krewny, który umie zastosować się do każdego towarzystwa i zawsze znaleźć się na właściwym miejscu?

Nie wiem co tam odpowiedział pan Antoni, ale nie będziesz się przecież dziwić, że mi było przyjemnem to co słyszałem. Chcąc tedy dalej zasługiwać na tak pochlebne o mnie zdanie, natychmiast w obec dzieci zgasilem ledwo napoczęte cygaro, i otwarcie, nie tając się z tem wcale wsunąłem je w kieszonkę do zegarka. Tymczasem później, przy herbacie gdy pan Match znowu częstował cygarami, musiałem także przyjąć, bo powiedz sama, jakże tu odmówić cygara gdy wszyscy mężczyźni biorą?... I toż samo z konieczności powtórzyło się jeszcze raz przy odrocie na okręt. Po prostu, widzę teraz że dziecinny byłem, ale na razie, doprawdy nie śmiałem odmówić a potem przy wejściu na statek, te właśnie trzy ledwo napoczęte cygara ofiarowałem najpierwszemu z brzegu majtkowi, którym był James Mille i to mi jego przyjaźń zjednało. Natychmiast zgniół w palcach wszystkie trzy, acz bardzo duże, i ogromną tę gałę niby jabłko, wpakował sobie w usta, i ssać i żuć ją zaczął przekładając co kilka godzin regularnie z za lewej po za prawą szczękę i odwrotnie dla zachowania przyzwyczajonej powierzchowności, jak powiada. Powiada że za powrotem do Anglii ma zamiar poszukać sobie żony i lęka się, że mógłby nie podobać się żadnej dziewczynie, gdyby trzymając ciągle gałę tytoniu po jednej stronie twarzy rozepchał ją tak, że byłaby trzy razy

większą niż druga połowa, jakby w najokropniejszej pu-
chline, co zdarza się prawie zawsze marynarzom żującym
tytuł w ten sposób. Otóż tego to nowego przyjaciela mego
James Mille'a spytałem teraz o znaczenie niezwykłego ru-
chu na statku. Spojrzał na mnie uważnie z pod oka, nie
podnosząc głowy od liny grubiej jak moja ręka, którą to linę
związywał właśnie na jeden z tych czysto marynarskich wę-
złów, o których zdaje mi się, że możnaby cały tom napisać,
z bardzo zajmującymi ilustracjami.

— Albo co? — rzecze.

— To, że chciałbym bardzo wiedzieć co się to dzieje
dziwnego, i czego widocznie kapitan się obawia; chciałbym
wiedzieć przedewszystkiem dla tego, aby na najgorsze być
przygotowanym.

James Mille pokręcił głową:

— Człowiek nigdy na nic nie może być przygotowanym
— rzekł — ponieważ zawsze spotka go nie to co on zamyśla.
Z tem wszystkiem, ty, mój młody grzeczny panie nie jesteś
przecie delikatną panią, a my tylko przed delikatnemi pania-
mi, które lichu nosi w tych czasach po naszych okrętach,
mamy rozkaz prawdy nie powiadać aby im się nerwy nie
zirytowały do stu tysięcy djabłów. Splunął "stary wilk mor-
ski, westchnął, jęknął i mówił dalej:

— Ho ho ho!... kędyż są te czasy gdy nikt nigdzie na
żadnym okręcie ani kawałka jejmości nie znalazł, jak to po-
wiadają ani na lekarstwo! Błogosławione czasy!... Ale mi-
nęły już niestety! Dzisiaj baby, przebrzydłe baby, ledwo
która z pieluch wyrośnie i o własnej sile chodzić może, jużci
puszcza się na wodę, a ty człowieku nieszczęsny kłopotcz się
z nią!...

— Ależ panie Mille — powiadam ja na to — a cóż ja
temu winien?

Mille zastanowił się, ręką machnął i rzecze:

— A istotnie, ty nic winien nie jesteś, młody panie,
tylko w tem jest złe, że my się przyzwyczaili do tajemnicy,
więc wszystko robi się tajemnie, niby „pod pokrywką”
i przeto porządni ludzie „nie tchórze” tacy jak pan jesteś,
nie mogą nawet zmiarkować z pierwszego razu o co rzecz
idzie; a potem w gwałtownym wypadku jest stąd bieda.

— A więc o cóż rzecz idzie? — zawołałem zacieka-
wiony.

— A to o to — rzekł spokojnie — że w tych okolicach
ci łotry zbóje mogą każdej chwili napaść na nas, dostawszy
się pod lada pozorem albo i gwałtem na pokład, przemódcz
nas, pomordować, a ładunek i broń zrabować a potem uciec
i kwita i szukaj wiatru w polu i basta!

— Jacy zbóje? Jacy łotrzy?

— Jacy? Jacy? A no oczywiście rozbójnicy malajscy
ci sami, którzy od wieków grasują na tych wodach, którzy
gnieźdzą się w tych zielonych wysepkach kwitnących wszę-
dzie naokoło jak okiem zasięgnąć.

— Jakto? rozbójnicy indyjscy, a przecież już ich po-
skromił władca Sarawaki.

— Tak, poskromił swoich z Sarawaka, to prawda, ale
nad temi tu okolicznemi wysepkami on władzy nie posiada,
i przeto, chociaż przez pół drogi przepływa się od lat kilku-
nastu w tych zielonych labiryntach spokojnie, to przez drugą
połowę drogi można każdej chwili być napadniętym, jak to
się codziennie z przepływającemi tędy statkami zdarza, nie-
ledwie przy saméj przystani Singapore.

Przyznam ci się szczerze moja Wańdziu, że przez
chwilę milczałem po tem porozumieniu, usiłując zebrać my-
śli, aby niedorzeczności nie powiedzieć, aż wreszcie pytam:

— To wszystko dobrze, panie Mille, ale cóż w tem
wszystkiem mają do czynienia delikatne panie o których
wspomniałeś przed chwilą? Nic tego nie rozumiem panie
Mille?

— Nie rozumiesz? To znaczy że gdy te delikatne ka-
nareczki znajdują się na pokładzie, nie należy ich przestra-
szać złemi wiadomościami: toż gdybym jakiejś jejmości po-

wiedział to co panu powiedziałem, napełniłaby krzykiem
i lamentem cały statek i wszyscy straciliby głowy!

— Cóż więc robi się gdy są na pokładzie panie?

— Uzbraja się i pilnuje skrycie, a przed niemi powia-
da się że to są ostrożności ze względu na węże...

— Węże?

— A tak, albo co? Czy nie widzisz pan węży? Czy
myślisz że one z uprzejmiej gościnności tylko wyciągają tak
głowy z gęstwiny i z fal morskich nawet i mają widoczną
ochotę wejść z nami w stosunki?

Spojrzałem naokoło uważnie, i w istocie, z pomiędzy
szmaragdowej zieleni najbliższych wysepek, a nawet i ze
szmaragdowej toni fal morskich, ujrzałem tu i ówdzie błyska-
jące oczy węzów i giętkie a błyszczące stubarwami kształty
ich ciał wydłużonych, połyskujące w blaskach słonecznych.

— Cóż to jest? czyliż to węże jadowite? Czy mogą się
dostać na pokład? — spytałem zdziwiony i wystraszony tro-
chę, bo mam wstręt wrodzony do płazów, jak wiesz zresztą
o tem. Mille rozśmiał się z mego zdziwienia roztwierając
usta szeroko, ale nie wydając wcale żadnego dźwięku:

— O!... dzieciństwo! — rzekł — węże te są jadowite
i gnieździ się ich dużo na tych wysepkach, i dużo morskich tu
się znajduje; mogą one łatwo wśliznąć się na pokład, a uką-
szenie ich zazwyczaj bywa śmiertelne... Ale to wszystko
dzieciństwo jest mój młody panie, i o węzach mówi się tylko,
w obec delikatnych pań, które lichu przynosi na pokład ku
strapieniu marynarzy, a mówi się dla tego, ażeby nie krzy-
czały ze strachu w niebogłosy, widząc ostrożności jakie się
przebiegają przeciw rozbójnikom... Wszystko w takich ra-
zach spędza się na niewinnych węzów mój młody panie.

— Baczność! — rozległo się z góry w tój chwili. —
Indyanie w łódkach! — Kapitan stał o trzydzieści kroków ode-
mnie na swoim mostku i patrzył przez lunetę wydając co
chwila grzmiące rozkazy, poczem następowały pewne ru-
chy wśród załogi, których ja jednak zrozumieć nie mogłem.
Zresztą nie widziałem nic, choć bacznie patrzyłem naokoło.
Czułem tylko, że parowiec nasz wzmagął chyżość gwałtownie,
tak gwałtownie z każdą chwilą, iż wkrótce poczułem iż drzeć,
a raczej drgać zaczął cały z wyteżenia, śmigając kręto
w trudnych przejściach pomiędzy wysepkami, jakby sam był
wężem wodnym. Nie wiedziałem co się dzieje, lecz nagle
począł mię ogarniać strach paniczny...

— Baczność! — rozległo się po raz drugi. Głos ka-
pitana stojącego jak kamienny posąg na swoim stanowisku
rozległ się znou, statek zatrząsł się od zdwojonej siły, nie
płynął już ale przelatował jak rozszalały ptak po szczytach
fal morskich, a jednocześnie cały rój maluteczkich łódek peł-
nych kokosowych orzechów, bananów i ptactwa ubitego i z je-
dnym tylko w każdej Malajczykiem, zjawił się na otaczają-
cych nas wodach. Wraz setki brązowych rąk i nóg niby nale-
żące do małp czworonożnych, zaczerniały na parapecie okrę-
tu obok mnie i dalej jak dojrzeć mogłem.

— Wieziemy żywność! sprzedać, sprzedać chcemy! —
krzyczeli Malajczycy tą mieszaniną języków, z której poje-
dyncze wyrazy już trochę rozumiem.

— Pal! — huknął kapitan i palnął sam jednocześnie
wychylając się naprzód, strzały huknęły, mnóstwo rąk znikło,
ale inne pozostały czerniejąc coraz bardziej na brzegach pa-
rapetu, nieruchome i stężale. Tymczasem mnóstwo no-
wych rąk, nóg i głów, nie tyle brzydkich jak strasznych ra-
czej, ukazywało się jednocześnie ze wszystkich stron, wdzie-
rając się z przeraźliwym krzykiem na pokład.

— Pal! — wołał kapitan, strzelając sam jednocześnie,
dym zaczynał wzrok mi zasłaniać, gdy nagle ujrzałem pana
Antoniego wypadającego gwałtownie z dolnych schodów,
gdyż spał w kajucie po nocy bezsennej zupełnie:

— Kaziu! Gdzie Kazio! — krzyczał szukając mię.

— Stój pan! ani się rusz! — krzyknął na niego Mille,
który był przy schodach, w szeregu innych marynarzy i strze-
lał na każdą komendę kapitana: — Chłopcu bezpiecznie
tam gdzie jest, pomiędzy pakami pod samym parapetem,

niż gdyby miał przechodzić teraz przez pokład, pod strzałami naszymi i tych małą przeklętych. Pan Antoni zamilkł, patrząc na mnie jak skamieniały, a ja wtedy dopiero opamiętałem się, zrozumiawszy nareszcie położenie, i wstyd mię zdjął okropny... Jednocześnie strzała, zatruta pewno, świsnęła nad moją głową i jeden z majtków trafiony w piersi, padł i potoczył się przy gwałtownych rzutach parowca przez cały pokład aż do stóp moich, nie puszczając z rąk rewolweru, z którego nie miał czasu wyrzelić. Pochwyciłem rewolwer z rąk zmarłego bez żadnego namysłu ani zamiaru, ot wprost tak, jakbym to nie ja, ale ktoś inny za mnie zrobił, i spoglądając w górę palnąłem w głowę rozbójnika, ukazującą się tuż nademną.

— Dobrze chłopcze! — zabierz amunicją od zmarłego i wal w te gady! — zahuczał potężny głos kapitana, choć dotąd pojąć nie mogę jakim sposobem, zajęty obroną całego okrętu, mógł zwrócić na mnie uwagę. Zwrócił ją przecież jak widać, a ja też natychmiast zrobiłem co rozkazał, nie ruszając się, zresztą, tylko strzelając z miejsca do głów, które mogłem osiągnąć. Pan Antoni stanął już w szeregu w miejscu zabitego majtka i strzelał także, bo zawsze ma broń przy sobie. Nagle rozległ się straszny dziki wrzask do jęku podobny ciemna poczwara skoczyła mi z ponad głowy na pokład i w kilku punktach jak okiem zajrzeć mogłem powtórzyło się toż samo:

— Na białą broń — huknął kapitan i sam, jednym uderzeniem topora, rozciągnął jednego zabójcę. Istotnie, nie można było inaczej, ja też opuściłem rewolwer, bo teraz strzelając do zbójcy, mógłbym trafić wprost w pana Antoniego. Pociemniało mi w oczach, jakby nagle słońce zaszło, pomyślałem o rodzicach i o tobie Wańdziu i z podniesionym w górę pistoletem stałem jak nieżywy, pewien, że ostatnia nasza godzina nadeszła; gdy nagle potężny huk armatni wstrząsnął powietrzem. Dzikie wycie rozległo się wokoło, i w jednym mgnieniu oka nieledwie, czarne poczwary znikły z naszego pokładu, skacząc jak mały; a statek nasz trzęsąc się i jęcząc z wysilenia, jak żywy rumak goniący sił ostatkiem, wpadł pomiędzy kilka innych statków: niskie, długie, zielone wybrzeże rozciągało się przed nami.

— Batawia! — zawołano tryumfalnie z góry. Strzały armatnie, które spłoszyły zbójców, grzmiały wciąż od strony portu.

(d. c. n.)

SZARADA.
(Pegaz skrzydlaty).

Pierwsze drugie to mądry król w starożytności,
Imię jego wśród naszych monarszych nie gości;
Trzecie czwarte broń biała; a zaś wszystko razem
Jest dzielną choć dotkliwą wymowy obrazem,
Którą potężny mówca, od wieków sławiony,
Używał w swoim czasie dla kraju obrony
Przeciw chytrym podstępom i zdradnej mądrości
Króla, którego imię rzadko u nas gości.

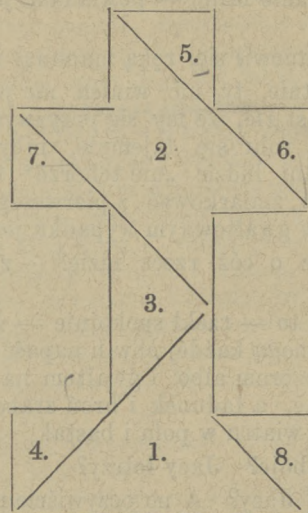
ZADANIE KONIKOWE.

(dla Dobrej pani od Lewkonii.)

Ja	od	na	cać	dwie	mi	ko	lna	za
oj	zł	od	nie	ła	je	le	myśl	ku
nikl	kiez	i	oj	ło	ser	ta	dym	mi
ta	ca	je	cu	ka	ku	ka	rę	mo
se	ko	nie	sy	szcze	won	w	lza	kie
dym	ła	by	ni	pła	ni	dźwię	ja	tki
ło	pie	to	po	le	kien	kiem	ta	mi
u	kie	dro	gro	ku	che	ce	ma	cie
kne	i	nim	mi	oie	na	sto	ci	ła

ROZWIĄZANIA DO N-ru 34-go.

Łamigłówki geometrycznej:



Łamigłówki:

B S K S Z K B A T K P W B O
a z o o ł u a g u r a i e l
J A N K O C H A N O W S K I
k r i ó t y i t e w i ł a m
a y e ł o k a a l a e a s p

Jan Kochanowski.

TREŚĆ: Cyngalezi (z drzew.) — List z Warszawy p. Gołąbkę pocztową. — Było ich trzy, nowelka p. Z. Morawską (c. d.) — Odpoczynek (z drzew.) — O dwa dni zapóźno. — Wspomnienia młodego wędrowca z podróży naokoło świata (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Mądry Cacus (z drzew.) — Wilk, baran i sarna, wiersz. — Motyl i pszczoła. — Pokora. — Na wakacjach p. Bronisławę Porawską. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów, **Dodatek książkowy:** Goście ciotki Klotyldy, p. Mrs. Molesworth, przełożyła z angielskiego T. P.



MĄDRY CACUŚ.

Cztery małe panienki na wsi pragnęły koniecznie jeździć konno, ale mama bała się puszczać malców do koni i wszelkiej styczności z końmi zakazała. Że to były jednakże bardzo dobre dziewczynki posłuszne i pracowite, zatem ojciec, chcąc żeby i wilk był syty i owca cała, to jest aby obu stronom dogodzić, kupił potulnego i wytresowanego do jazdy osielka i podarował go córeczkom. Nie podejmuję się opisać jak wielka była tam uciecha, gdyż byłoby to za trudno. Dziewczynki codzień ledwo załatwiwszy się z obowiązkami biegły do osielka, nazwawszy go Cacusiem i bawiły się z nim bezustannie. Raz wsiadły na niego wszystkie cztery i kazały mu jechać. Zdziwiły się niezmiernie, że Cacus po raz pierwszy opornym się okazał i ani ruszyć z miejsca nie chciał.

— Oho, otóż i upór ośli pokazuje się w tym grzesznym dotąd Cacusiu! — zawołano, chciano go pociągnąć w tył za ogon, aby zmusić do postąpienia naprzód, ale po naradzie inny wymyślono sposób. Zosia przywiązała na końcu kija garść najsmaczniejszego pożywienia, i siedząc na ośle trzymała mu tę ponętę przed nosem, biedny Cacus chcąc dosięgnąć przysmaku postąpił krokiem, potem drugim, i tak dalej aż przejechało kawałek jak chciały dziewczynki i dopiero wróciwszy na miejsce z którego ruszył Cacus, dostał ponętę, która dotąd ciągle szła przed jego nosem. Dziewczynki pokładały się ze śmiechu:

— Otóż tak robi się z uparciuchami! — powiedziały mu na dobranoc. I pobiegły na herbatę, przy której śmiejąc się, opowiedziały rodzicom awanturkę z osiołkiem.

— Jakto i wyście go jeszcze za to nazwały uparciuchem? a jakże same siebie w takim razie nazwiecie? — spytała mama.

— Same siebie? A to dla czego?

— Dla tego, że ponieważ cztery dziewczynki, jakkolwiek małe, jest to trochę za dużo ciężaru dla jednego biednego osła, zatem osieł ten odmawiając dźwigania nadmiernego ciężaru miał racją, wy zaś zmuszając go do tego bez żadnej potrzeby, powodowane byłyście jedynie tylko uporem. Czy nie tak?

— Jakto mamó? Więc Cacus miał słusznosc? Więc to było za dużo ciężaru? A może on się podźwignął i zachoruje?

— Prawdopodobnie gdyby mówić umiał, pewno samby to wam powiedział, że mu było za ciężko; ale wątpię żeby miał chorować.

— O, mamó, jakież to szczęście że on mówić nie umiel... nużby rozplótł po świecie, że dzieci muszą uczyć się rozumu od osła!..

WILK, BARAN I SARNA.

Pod lasem za wsią, w lecie, od rana,
Głodny wilk widząc barana,
Który się w gęstej paś koniczynie,
Zawołał groźnie: „Śmierć cię nie minie;
Dziś mi nie ujdiesz, bratku, na suchol!”
Już wilk barana schwycił za ucho,
Mając na myśli zamiary czarne...
A wtem z daleka spostrzegli sarnę,
Tak sobie gada:
„To lepsza gratka — kąsek nielada!”
Zresztą i baran mi nie przepadnie;
Nikt go z przed nosa mi nie ukradnie!”
Spostrzegli sarna w swojej ustroni,
Iż wilk drapieżny tuż za nią goni,
Dalejże w nogi prosto do lasu,
I wśród drzew gęstych znikła zawczasu.
Wilk pozbawiony smacznej zdobyczy,
Już na barana jedynie liczy;
Lecz nim wróciło wilczyisko z lasu,
Niewinny baran korzystał z czasu,
A nie chcąc życia tracić najmarniej,
Uciekł czempredzję do swęj owczarni.

* * *

Wielka to prawda moi przyjaciele!
Wszystko ten traci, kto pragnie za wiele!..

MOTYL I PSZCZOŁA.

Pięknego letniego poranku spotkała się pszczoła z motylem latającym z kwiatka na kwiatek. Pszczołka niosła dużo złotego pyłku, miała go na nóżkach i na skrzydełkach, dla tego prędko fruwać nie mogła.

— Że też ty pszczołko tak sobie życie psujesz — odezwał się do niej motyl. — Pogoda śliczna, kwiatki się

śmieją do nas, a ty co z tego użyjesz? Jak ślimak nosisz brzemień dzień i noc.

Na to odpowiedziała mu pszczoła. — Nie będę się z tobą sprzeczała, życie samo nauczy cię, jak źle robisz wyśmiewając się ze mnie.

Minęło lato, nastąpiła chłodna jesień. Kwiaty przekwitły, a zimny wiatr wiał tak silnie, że motylki i pszczołki utrzymać się w powietrzu nie mogły.

Uciekając do ula spotkała znów pszczoła motyla.

— No cóż przyjacielu — zapytała go — czy zawsze ci tak samo wesoło?

— Oj nie, moja przyjaciółko — odpowie motyl — kwiatki powędły, słoneczko nie grzeje, a jeść nie ma co.

A na to pszczoła. — Widzisz kochanku, jak źle być lekkomyślnym, masz dowód, że zabawą i figlami chleba się nie zdobywa.

POKORA.

Mamusiu — pytał inną razą Janek — zrozumiałem wybornie co to pochlebca, powiedzże teraz co znaczy pokora, lub najlepiej opowiedz znów jaką historję, jak wtedy o Kanucie.

Mamusia pomyślała chwilę a potem zapytała:

— Czy wiesz synku, jakie wojny nazywano krzyżowemi?

— Wiem, mamusiu, te, kiedy różni europejscy rycerze szli bić Turków, żeby im odebrać Jeruzalem, bo tam był grób Jezusa Chrystusa.

— Bardzo dobrze pamiętasz, słuchaj więc teraz o pokorze: Najślawniejszym ze wszystkich rycerzy, którzy szli bić się z niewiernymi, był Godfryd de Bouillon. Odważny i szlachetny pomagał zawsze nieszczęśliwym, w drodze do Jeruzalem, kiedy wojsko przebywało wielki las, niedźwiedź napadł na biednego pielgrzyma. Któż pierwszy dał mu pomoc? księżę Godfryd, skoczył z konia i długi nóż utopił w szyi straszego zwierza, a chociaż sam został pokaleczony, nie zważając na własne rany, tamował krew pielgrzyma. Otóż ten księżę Godfryd cudów waleczności dokazywał w wojnie z Turkami, a kiedy przyszło zdobywać Jeruzalem on pierwszy wdarł się na mury, on krzyż na nich zatknął, on prowadził wojsko do zwycięstwa.

To też kochało go to wojsko, i w zdobytej Jerozolimie rozległ się okrzyk: — Godfryd królem, Godfryd królem.

A Godfryd tymczasem, bosy i w skromnej szacie, modlił się przy grobie Zbawiciela, szczęśliwy, że odzyskał nareszcie drogę miejsc pamiątek.

Tu zastali go rycerze, przybyli ofiarować koronę *najgodniejszemu*.

Ale Godfryd odsunął ją od siebie.

— Nie mogę — powiedział — przyjąć złotój korony tu, gdzie mój Zbawiciel nosił cierniową. Nie królem ale stróżem jego grobu zostanę i tak mnie odtąd nazywać będziecie. Zwano więc świątobliwego księcia *Stró-*

żem grobu Chrystusa a pokora Godfryda większej mu dodała chwały jak najwspanialsza korona. Umarł Godfryd roku 1100: Widzisz dwie jedynki i dwa zera, to bardzo łatwo spamiętać, synku.

NA WAKACYACH.

(Dalszy ciąg).

— Do kanału nie pójdę, mama zakazała abym tam nigdy sam nie chodził, kanał głęboki, i brzegi takie wysokie — mówił Władzio, przytrzymując chustką pływającą krew z ucha — chodźmy przedź do cioci, bo mnie boli coraz mocniej.

— A co powiesz cioci? — pytał Gucio, któremu wcale nie było pilno.

— Powiem prawdę żem upadł i stłukłem się — odrzekł chłopczyk krzywiąc się trochę — no jak chcesz ale ja idę, nie mogę już czekać.

W tej chwili, wuj stanął przy drzwiach stajni.

— A wy tu co chłopcy robicie — zawołał niespokojnie — jak można wchodzić do stajni gdy w niej nie ma nikogo starszego.

— Stajnia była otwarta — rzekł Gucio.

— Ale zasztabowana, bo teraz gorąco, i dla tego Andrzej drzwi nie zamknął. Szczęście żem przyszedł — mówił wuj dalej — gdyby się który przysunął nieostróżnie do tego siwego konia, mogłoby się stać nieszczęście.

— Dla czego? — zapytał Gucio.

— Bo to koń dziki bardzo, kupiłem go niedawno, jest jeszcze młody i nieujeżdżony, i do tej pory tylko Andrzejowi, pozwala zbliżyć się do siebie. Wyrzuca i wierzga tylnymi nogami na każdego, zwyczajnie, niemądry bo młody, i nie nauczyli go jeszcze rozumu. Chodźcie ze mną, pójdziemy w pole... — nagle wuj przestał mówić, spostrzegłszy teraz dopiero Władzia, który się usunął na bok — co ci to chłopcze, chodź tylko — zawołał zaniepokojony. I wzięwszy chłopczyka za rękę wyprowadził ze stajni.

— Ja wujku padłem na to żelazo — rzekł chłopczyk drżącym głosem, uprzedzając pytanie — i tak się trochę potłukłem.

— Trochę — rzekł wuj oglądając ranę — pięknie mi trochę, jesteś nieuważny mój Władziu, ale teraz łajac cię nawet nie mogę, masz już dosyć kary za figle, chodźmy, musi cię bardzo boleć biedaku.

I wzięł Władzia za rękę, a Gucio ze spuszczoną głową szedł za nim w milczeniu.

Na widok zranionego dziecka, babcia łamała rękę, Julcia płakała, aż się zanosila, ciocia tylko nie straciła głowy, i wzięła się natychmiast do obmycia i opatrzenia biednego chłopca.

Przytem wszystkim Władzio nie krzyczał, nie dokazywał, trochę mu tylko łzy w oczkach błyszczały, ale je czempredź otarł chusteczką, bojąc się, aby ich nikt nie widział.

Gucio stał na boku, i rozmyślał sobie, jakim to sposobem się dzieje, że Władzio płakał przy odjeździe ma-

musi, kiedy go nic przecie nie bolało, a teraz siedzi cicho na krzeselku, choć ciocia dotyka rany na uchu, wycina włosy na głowie, gdzie także było skaleczenie, a chłopczyk ani syknie, czasem tylko przymknie oczki i skrzywi się trochę.

Dlaczego wtenczas płakał, a teraz nie jęknie nawet? Bo przy odjeździe mamusi, Władzia bolało bardzo kochające serduszko, bo uczył wielką tęsknotę za mateczką, która, choć tego pokazać nie chciała po sobie, była pierwszy raz na czas dłuższy rozłączoną z dziećmi. Władzio dostrzegł łezkę w oku mateczki, choć ją zatrzeć chciała, pomyślał że ojciec chory, że go nie ujrzy tak prędko, nie umiał zapanować nad żalem młodzietkiego serca, i zapłakał. Ale teraz to co innego, wstydził się płakać, chociaż nie umiał zdać sobie sprawy dla czego, czuł instynktownie, że na taki ból wytrzymałym być należy, że taka siła, to prawdziwy hart męskiej duszy.

Gucio tego zrozumieć nie umiał, on nie płakał gdy odjeżdżał z domu, nie płakał też gdy się przewrócił lub otrzymał połajanie, myślał więc, że jest prawdziwym mężczyzną. Ale, jak się raz skaleczył scyzorykiem w palec, i zobaczył krew płynącą, krzyczał w niebogłosy, tupał nogami, nie dał się nikomu dotknąć, tylko wrzeszczał i lamentował:

— Uciąłem sobie cały palec, uciąłem, o jój! o jój! nie wytrzymam, tak boli, umrę pewnie.

Przypomniał sobie to teraz, i pomyślał, że chyba Władzia nie musi tak boleć, jak jego bolał zadraśnięty palec. Pierwszy więc dzień wakacyj, rozpoczął się nie bardzo wesoło dla chłopców, Guccio skazany był na osamotnienie, bo Władzia babunia zabrała do swego pokoju, gdzie mu dziadziś opowiadał różne wesołe historyjki, i czytał śliczne powiastki.

Gucio chodził z kąta w kąt, jakoś mu było niemiło, i po kilka godzinach, poszedł i on do pokoju dziadziusia. Był trochę nieśmiały i pokorny, i ze smutkiem spoglądał na Władzia który siedział na szesławgu, z obandażowaną głową. Przybliżył się do niego i zapytał cicho:

— Czy bardzo cię boli, mój Władziu?

— O, już teraz nie tak — odrzekł Władzio, siląc się na uśmiech — ciocia taką mi dobrą maść przyłożyła.

— Żal ci braciszka? — zapytał dziadek, gładząc Guccia po jasnej główce — widzisz jak to trzeba być ostróżnym, to szczęście że na głowie małe jest tylko zadraśnięcie, a tylko biedne ucho ucierpiało.

— A prędko się zgoi? — zapytał Guccio.

— Za kilka dni może — odpowiedziała babunia — oj, jakiby to mógł być straszny wypadek, gdybyście byli przysunęli się do konia, wujek mówił o tem z przerażeniem.

— I któremuż to przyszło do głowy iść do stajni cugowej, gdy w niej nie było nikogo?—zapytał dziadziś.

— Myśmy tam poszli razem — rzekł pierwszy Władzio. Ale Guccio zaczął mrugać oczkami, coś go w nich kłuło, nareszcie po chwili wskoczył dziadziusiowi na kolana, objął go za szyję i zaczął płakać.

— A to co ci chłopcze? — rzekł dziadek tuląc go do siebie.

— Pocziwe dziecko — rzekła babunia rozrzewniona — jakie to on ma złote serce.

— Nie, nie, ja nie jestem pocziwy — mówił malec łkając — ja nie mam złotego serca.

I opowiedział wszystko jak było, nic nie tając.

Łatwo się domyśleć że nastąpiło przebaczenie, dziadziś powiedział tylko Gucciovi:

— Widzisz mój chłopcze, Władzio postąpił tu jak prawdziwy mężczyzna, bo i ból zniósł mężnie bez narzekania, i sekretu nie zdradził, nie oskarżając winnego. Niesłusznie nazwałeś go tchórzem, była to tylko rozwaga, i konieczna ostrożność, która niema nic wspólnego z tchórzostwem. Chłopcy się uściskali, i Guccio przyrzekł że i on będzie ostróżny, a nawet że będzie słucał Władzia.

Zobaczymy teraz, jak się bawiły dziewczynki. Wiemy że Mila z Kazią poszły do ogródka, o takie panienki niema więc kłopotu, przecie Kazia skończyła lat dziesięć, a Mila o rok jeszcze starsza. Nazbierały truskawek, ostoniły liśćmi różę, aby jój zbyt wczesnie nie zwały promienie słoneczne, i wróciły do pokoju. Nadchodziły imieniny babuni, a panienki przygotowywały na ten dzień podarunki własnej roboty. Kazia pracowała nad ślicznym bukietem, wyszywając go na kanwie, miał on służyć na pokrycie stołeczka pod nogi. Mila zaś haftowała na batyście szlarki do czepeczka, przez skromność powie że to do rannego, lecz w duszy myślała sobie, że babunia przy gościach nawet, śmiało taki czepeczek włożyć może. Rozmawiały przytem o czytanych powieściach, Mila zachwycała się książką p. Zaleskiej p. t. „Dwie siostry”, której Kazia jeszcze nie czytała, a bardzo pragnęła poznać swą imienniczkę.

I czas tak ślicznie upływał panienkom, że byłyby siedziały bardzo długo przy pracy, gdyby nie wypadek Władzia, który poruszył dom cały.

Lucia znów z Julcią zabrały się zaraz do ubierania lalek, robiąc przytem słuszne bardzo uwagi, że leżeć długo i spać do 10-tój to strasznie brzydko.

— Moje lalki nigdy tak długo nie sypiają — mówiła Lucia — dopiero te twoje warszawskie leniuszki, taki im dały zły przykład.

— Przepraszam cię — rzekła obrażona Julcia — warszawskie leniuszki, może więcćj pracują, i ranięćj wstają, od pracowitych niby wieśniaczek.

(d. c. n.)

Łamigłówa kryształowa.

(Od Amazysa dla Gołąbki pocztowej).

```

*
. * .
. . * . .
* * * * * * *
. . * . .
. * .
*

```

1. Samogłoska. 2. Rodzaj poezyi. 3. Gatunek zboża.
4. * * * * * 5. Miara czasu. 6. Zwierzę drapieżne.
7. Spółgłoska. Środkowy wywaz i środkowe litery utworzą nazwisko poety polskiego który ślicznie i dla dzieci pisać umiał.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 35-go.

Szarady:

Nie — to — perz.

Skrzynka do listów.

Ex-Dewajtšowi (obecnie **Piosence**) posłano żądane numeru. **Jul. S.** opisała zdarzenie, które nie dawno w gazetach opisywanem było. Powiastka jest do odebrania.

Cz. oraz inne autorki nadesłanych rękopisów zechcą pocze-kać, aż rękopisy zostaną przejrzone i... osądzone. Radzi nieraz drukujemy prace młodych naszych czytelniczek, ale trzeba na to, abyśmy w nich dostrzegli iskry prawdziwego talentu, albo szlachetnej a żywo i z przejęciem wypowiedzianej myśli. Być dawną czytelniczką, to jeszcze nie dosyć.

Gałązko jaśminu, w której teraz **Białą Olchę** powitać nam przychodzi, czy ci się zdziwiło być pachnącą, wiosenną gwiazdeczką?

Falo morska, musiał cię wiatr jakiś zburzyć w bałwany i unieść z sobą nieszczęsnych „Gości ciotki Klotyldy”? Biedna Kachna! nie znajdzie tam z pewnością testamentu, a nawet nie przyszedłoby jej do głowy tam go szukać, choć bardzo to pomysłowa dziewczynka, nieprawda? Numeru żądane przesłano; kop. 85 oddane według przednaczenia.

Brzydotko z nad Tamizy, nie tłumacz się że do konkursu robotek nie należysz. Dość ten już robi, kto na obczyźnie o „biednych dzieciach w kraju” pamięta. Wandy obchodzą swe imieniny albo 23 Czerwca, albo na *Młodzianków* d. 28 Grudnia.

Więc i **Kwiatkowi polnemu** lato tak szybko przemigło, że ani się opatrzył kiedy? Mamy nadzieję, że ten kwiatek nie opadnie przed zimą, i nie przestanie do nas pisywać, skoro i jemu robi to równą jak nam przyjemność.

Pucka ma prawo do najserdeczniejszych podziękowań za kaftanik. Miło nam powitać w gronie korespondentek tak pracowitą dziewczynkę. Sz. Babci dziękujemy za dar przysłany dla biednych dzieci.

Biała Orliczka także widać nie próżnuje, skoro w swoim wieku ma już po pięć godzin lekcji dziennie. Nie zachciewa ci się jednak „Dnia swobody” ptaszyno?

P Marya Wiel. Żądanych przez Sz. Panią roczników niema w redakcyi; znajdują się może u antykwaryusza.

Sukienka którą przysłałaś droga **Makolągwo** ślicznie wykończona ucieszy bardzo jakie biedne dziecię w Szpitaliku. Cóż to za szczęście, że Cygaro już tak zupełnie zdrowie odzyskał! Byłam niezbyt daleko od miejsca waszego letniego pobytu i myślałam, jak miło byłoby was zobaczyć. Cieszę się że ci się podobał Ben-hur, bo powieść ta bardzo pięknie napisana. Winszuję ci serdecznie niedawno minionych urodzin, lecz sądzę, że pomimo skończonych lat 14, nie przestaniesz być przyjaciółką „Wieczorów”. Wszak mamy w liczbie naszych kochanych korespondentek i starsze panienki, starszankami zwane, i cenimy bardzo przyjaźń tych starszerek. Ściskamy cię tymczasem serdecznie.

Gdyby **Niezabudka** czeska mogła i chciała nam przysłać rysunek opisanego przez siebie zamku w Ujeździe, bardzo bylibyśmy wdzięczni. List jej czytaliśmy dopiero obecnie, nie będąc w Warszawie gdy nadszedł.

Kochane moje **Westalko**, i **Gosposiu z nad Warty!** Pszczoły idą **Jadwini** jako tako, ale teraz głównie zajmuje się ona mleczarstwem, gdyż dzierżawi pacht w sąsiedztwie, i dostała nawet list pochwalny za sery, na tegoroczną Wystawę pracy kobiet; kazała mi was uściskać, i przypomnieć tańce na pensyi panny K. Tobie droga **Gosposiu** donoszę, że mam lat 16, mieszkam w pow. Opoczyń-

skiem, i mam dwoje dorosłego rodzeństwa: brata **Stefana** i siostrę **Jadwigę**, nazywam się **Janina D. Ściskam** was obie po tysiąc razy, ach! jakżebym rada poznać was kiedy! Pseudonym zmieniam z **Dewajtš** na **Piosenkę**. Odpiszcie prędko, **Konwalijkę z nad Bobrówki** całuję serdecznie.

Droga Wiewióreczko Inflantska! Wiem kim jesteś, masz brata **Kazia** a nazwisko twoje zaczyna się od **P.** Czy masz dosyć orzechów, bo u nas niema ich wcale w tym roku; są za to włoskie orzechy i mnóstwo innych owoców. Ściskam cię serdecznie *Gwiazdka z Podola.*

Drogi moje **Topolko srebrna** i **Chmurko złocista.** Winszuję ci kochana **Topolko** nagrody którą otrzymałaś na ostatnim konkursie, a tobie **droga Chmurko** winszuję wzmianki pochwalnej. Przesyłam ci też szaradę, którą sama ułożyłam, napisz czy ją odgadłaś. Proszę was o pamięć, *Jaskółka z nad Uszy.*

Kochana Jum-Jum! Podobasz mi się z twego pseudonymu, musisz być bardzo wesołą. Czy próbowałaś krajać jabłko podług wzoru w N-rze 30 **Wieczorów R.** ja próbowałam. Jeżeli mi odpiszesz, donieś także ile masz lat, gdzie się uczysz, i jak ci na imię? *Twoja Gałązka jaśminu.*

Droga czeska **Niezabudko**, dziękuję ci za pamięć, dawno już pragnęłam z tobą korespondować, lecz myślałam, że dorosła panna nie zechce odpisać dziecku, jakim jeszcze jestem. **Mitka** wyjechała z rodzicami, lecz powróciwszy ucieszy się żeś do niej napisała, ściska cię serdecznie *Jaskółka z nad Uszy.*

Kochana Ptaszyno z nad Osławy, Łezko z nad Lutyni i **Zosiu S. w P., Ptaszyno**, czy już teraz nie korespondujecie z **Wieczorami?** **Zosiu** czybyś pseudonym zmieniła? dotychczas obiecanego mi listu nie miałam, czyżby zaginął na poczcie. Ja mój obietnicy nie zapomniałam, napisz więc do mnie. **Łezko**, czemu tak długo się nie odzywasz także? Ściska was serdecznie i prosi choć o słówko odpowiedzi *Filaretka.*

Kochana Kropelko rosy, Szarotko i Łezko z nad Lutyni! Czemuż to nie odzywacie się do nas? **Wam Polanko, Dębinko, Łątko, Listku** bzu i **Kuropatewko**, w odpowiedzi na miłą waszą odezwę „do wszystkich” donoszę, iż podzielim wasze uczucia i przy czynienie się do wykonania waszego zamiaru. **Kuropatewko**, szczerze dziękuję za zachętę tak piękną do dobrego. **Tobie Janeczko T.** przesyłam życzenia na dzień imienin, ściskając serdecznie was wszystkie, szczerze kochająca *Gałązka paproci.*

Luba Pomadko różowa! Więc mimo ponętnych i powabnych pseudonymów, wybrałaś sobie mnie „**Brzydotkę**” za pierwszą swą korespondentkę? *Quel honneur, quel bonheur!* W zamian za to, powiem ci, że lubię bardzo słodycze, a za kolorem różowym przepadam. O moim wieku dowiesz się z N-ru 26 **Wieczorów**, mieszkam obecnie o dwie godziny od morza Północnego, a o pół godziny od **Baltyckiego**. Weź mapę a znajdziesz. Ściskam cię, słodka **Pomadko**, a kochanej **Śnieżycy** która mnie obdarzyła całuskiem, odpłacam się w dziesięcioro! *Brzydotka z nad Tamizy.*

Kochana Dzierlatko z nad Zharu! Dziękuję ci za miły twój liścik, i przebac że tak długo nań nie odpisywałam; nie wiedziałam, że do mnie był pisany, gdyż długo nie mogłam sobie wybrać pseudonymu, chciałam nazwać się *Werbeną*, ale potem zapomniałam o tem i ztąd wyszło nieporozumienie. Znasz mię z fotografii a ja ciebie nie widziałam wcale, trudno więc byłoby nam się poznać spotkawszy. Całuję cię serdecznie *Szara ptaszyna z Podola.* **Babuni** rączki ode mnie ucałuj.

Droga Różyczko biała z Wołynia! Cieszę się z tego, że dobre chęci moje podzielasz. Czuję, że kochałybyśmy się poznawszy bliżej. Jestem także **Wołynianką** w równym z tobą wieku, nasze odpowiedzi na pierwszy konkurs były podobne, „**Dwoma siostrami**” także jestem zachwyconą. Proszę cię daj mi jakie szczegóły o sobie. *Kuropatwa z nad Ikopetia.*